

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 13 stycznia 1912.

AUGUST STRUDBERG.

Rosjanin na wygnaniu.

Nowela.

Słoneczny letni dzień rozpostarł się nad jeziorem genewskim, ogrzewając siarczyste wzgórza Ouchy i Lausanny. Paweł Petrowicz, student uniwersytetu w Moskwie, a dziś z łaski cara ogrodnik z Ouchy, ciągnął z trudem swój wózek w stronę Avenue de la Gare obładowany różami, sałatą i karczochami. Dziś był w Lausannie jarmark.

Pot spływał mu z czoła na oczy, osiadając na gęstych rzęsach powiek; ze skroni zlewał się ciurkiem, okraszając perłście oblicze przesłonięte do połowy jasno czerwonymi zwojami brody. Róże poczęły więdnąć z nadmiernego upału słonecznego, sałata kurczyła się do środka swymi listkami i broniła się przed skwarem. Niebawem stanął, zdjął niebieską bluzę i ostrożnie przesłonił nią wózek z jarzynami a otarłszy pot z czoła, ruszył dalej.

Gdy się zbliżał do Avenue de Theatre, słońce poczęło przypiekać coraz to natarczywiej. Tu znów odpoczął, zatopił wzrok w jezioro genewskie, następnie przeniósł go na pokryty niedawno spadłym śniegiem szczyt Deut d' Ouchy i, gdy patrzył się weń, zdało mu się, że się ochłodził i natękał zimnego powietrza i że teraz może się puścić w dalszą drogę.

Gdy tak stał, trzymając czapkę w ręce i wpatrywał się w szczyt, przeszła obok niego jakaś wyborna dama z młodym mężczyzną.

— Popatrz się, rosjanin!...

Młody pan przystanął i przyglądał się Pawłowi.

— Z przyjemnością popatrzyłbym dłużej na bohatera walki z caratem — rzekł — ale czas przecie...

Prawdę powiedziawszy, to teraz twarz Pawła przybrała odmienne rysy, w oczach przyglądających się. Wyglądała mianowicie jak babka przydrożna, gdy się przerwie tejże łodygę, jak to zazwyczaj czynią bawiące się dzieci... Nie było w niej tych jednostronnych skupień mięśni, jakie widział na obrazkach łycka, natomiast wszystkie siły zdawały się być w związku z jednym wielkim ogniwem galwanicznym.

Paweł czuł to — nałożył czapkę na głowę i pomknął dalej. Z placu Saint Francois zjechał na ulicę Saint Francois, którą z powodu natłoku jarmarcznego zamknięto dla większych wozów ciężarowych; wypełnione były ulice tłumem tak, że nawet zielonkarki z kramami musiały się rozłożyć tuż obok trotuaru. Gdy ujrzeli Pawła, postanowiły mu... czempredziej zamknąć przejście. Paweł jednak postanowił wytłomaczyć im krótko, że nie jest bydlęciem, żeby objeżdżał naokoło i ma prawo tędy przejechać. Nasionkarki i zielonkarki wezwały... policjanta! Ten oczywiście źle usposobiony do „rosyjskiego anarchisty“, wydał sąd na niekorzyść biednego emigranta tułacza, wskutek czego

Paweł musiał zawrócić na wyżynę, przejechał cały plac Saint Francois następnie Descent de Pepinet.

Bynajmniej nie czuł się tem upokorzonym, ani też zdziwionym. Już oddawna przyzwyczał się do podobnych „przyjaźnych“ stosunków; wiedział, że ci konkurenci wszelkimi sposobami starają się uniemożliwić sobie we wzajemnych interesach.

Gdy zjechał na Rue Central, gdzie mu wskazano należyte miejsce obok księgarni Benda, odkrył kwiaty i jarzyny; założył hołoble, zdjął bluzę, która wraz z czarnymi spodniami nadawała mu pozory wyrobnika szwajcarskiego, i oczekiwał na kupujących...

Południowe dnię lata nad jeziorem genewskim bynajmniej nie nalażą do przyjemnych; odczuwał to dobrze Paweł, który otoczony tłumem jarmarcznym, wystawiony na pociski zazdrosnych konkurentów szwajcarskich, którzy na tej samej wyżynie nie mogli „nijak“ stanąć z nim, mianowicie w hodowli róż — stał na skraju trotuaru pochyło ciągnącej się ulicy asfaltowej; pod jego wózkiem zlewała się woda do rynsztoka; w miarę jak się wpatrywał w ten krzyżący, łoskotliwy i brudny tłum w roboczych szatach, z jego narzędziami, wózkami, wiozącymi wszelkiego rodzaju materiały, poczęło mu być smutno nad wyrzaz; myśli odlatywały od niego i same poczęły pomykać gdzieś daleko, lecąc tam w daleką krainę z nienawistną mu a ukochaną zarazem Moskwą. Pewnie, że Paweł nie myślał o dzwonnach kościelnych i tym podobnych rzeczach, które obecnie przerodziły się w jego oczach i uszach w jakiś dziki rozgwar... Zapach jego cudnych róż, które sam nazwał „różami wolności“, pomieszawszy się z wyziewami czosnku i cebuli sąsiadek, usposabiał go radło do tego stopnia, że tęsknota jego przeniósła go zupełnie myślą do rosnących na północy białych grusz ojczystych i dzikich rosyjskich róż — „róż niewoli“.

Stojący opodal nieduży szwajcarski kościółek, skropiiony czerwono-zielonkawą farbą, zdał mu się niby pozłocistym minaretem; nie dostrzegał również różnicy, jaka zachodziła w strojach świątecznie ubranego rosyjskiego muzyka, a strojem szwajcarskich wieśniaczek odzianych w złoto czerwone ubrania, nie wiedzieć dlaczego: czy dlatego, że dziś uroczystość świąteczna, czy też jak zwyczajnie kobiety chcą się nacieszyć tym strojem w piękny letni dzień, a może raczej przypodobać mężczyznom niezgrabnym, jak wogóle wazyscy szwajcarowie?

— To jest oznaką ludzi słabych — myślał Paweł — gdyż ani dzwony kościelne, ani stroje nie przyczynia się do ich szczęścia; i tęsknił dalej. — Precz stąd, gdzie wiosna o połowę wcześniej się jawi, aniżeli tam, na mojej Północy surowej! Precz stąd, od tej ulicy, od tego kanału, od tego tłumy głupiego, a dlań tak nienawistnego; precz od tych ludzi żywych trupów, od tych zgniłych serc, od tych przestarzałych myśli; precz od tych cudzoziemców, którzy po to tutaj zjechali, by z balkonów pierwszego piętra oglądać cudną przyrodę, niby jaką premierę teatralną...

Wśród tych i takich rozmyślań nadeszła jakaś nabywczyni i spytała:

— Ile za te karczochy?

— Dwadzieścia pięć centimów, moja pani — odrzekł Paweł.

Pani obrzucała łuski, jak gdyby chciała skonstatować, czy przypadkiem nie są sfalszowane, zrobiła niemilosierajnie kwaśną minę, jakby chciała powiedzieć: za dużo i poszła sobie dalej.

— Ciekawa kwoka! „za dużo”! — szepnął do siebie w duchu Paweł. Nic nie wie o stosunkach na wsi, a mówi że drogie; gdybyś się zechciała nieco rozglądnąć, tobyś dowiedziała się bardzo ciekawych rzeczy, a przedewszystkiem; ile to pracy kosztuje jedna róża; otóż: musi się zakupić nawozu, który również jest drogi, trzeba zasiać siano, a gdy wykiełkuje w roślinkę delikatną, że się jej dotknąć człek boi, trzeba ją bardzo starannie pielęgnować, podlewać, plewić z zarostów, gdy przyjdzie zima, okryć ją należycie z tej i z tamtej strony, żeby z początkiem wiosny znów mogła odżyć; trzeba poczekać rok — dwa — czyli dwa razy po trzysta sześćdziesiąt sześć dni, zanim się pokryje kwieciami! Gdyby to wszystko ta głupia szwajcarska kwoka wiedziała, toby nie powiedziała, że dwadzieścia pięć centimów to „za dużo”, ale ponieważ o całej tej pracy mozolnej a niewdzięcznej choć pięknej i szlachetnej wie łajno, więc trudno od tej oślicy baalamskiej wymagać zrozumienia. Wiem także na domiar, że to nauczycielka! Nauczycielka, która pobiera na godzinę trzy franki od osoby, która się chce ćwiczyć w języku „paryskim” jak gdyby był „język paryski”. Siedzi sobie w ciepłym pokoju, rozprawia o pogodzie i operetce, a gdy godzina minie — bierze trzy franki i mówi litośnie: au revoir! z tem przekonaniem naturalnie, że za godzinę trzy franki, to „bardzo” mało!

Naprzeciw niego stało w wądole dwóch pracowników gazownianych.

— Tamci — mówił Paweł do siebie dalej — otrzymują za godzinę trzydzieści centimów, czyli akurat dziesięć razy mniej od ciebie, co sobie jak caryca siedzisz w wygodnym fotelu i bajdurzysz o pogodzie i operetce. Zdaje mi się, w tym wywróconym na opak świecie: praca robocza i płaca stoją do siebie w odwrotnym stosunku! Tak jest! Pomimo to „ekonomista narodowy” tej bolączki z własnej należnej mu strony nie oświecił, gdyby zaś na coś podobnego się odważył, toby mu — psia kość — powiedziano, że on jest warjatem, nie „ekonomistą narodowym”...

Takie oto, powiedzmy, brzydkie myśli rodziły się w bujnej duszy Pawła Petrowicza wśród wspaniałego południa letniego. Paweł nie podziwiał go, raczej — powiedzmy — zapomniał o tej chwili i o pięknym południu...

Mijały godziny. Słońce przyskwierało z góry, parzyło żarłem dachy domów i ulice i ogrzewało je jak wielki piec chlebowy. Tym się nieco przerzedził — on jednak stał dalej ze swymi otaczającymi go konkurentami; wiedział, że koło samego południa jest najlepszy targ. Albowiem teraz poczęły się zjawiać t. zw. przystojne i bogate damy, które przed pół godziną podniosły się z miękkiego łóżeczka i — pożał się Boże! — postanowiły zadać sobie „trud”, t. j. przejść się na rynek i zakupić kilka róż czy bukietów kwiatnych dla... no, to już zostanie sekretem! Gdyż co do jarzyn potrzebnych do obiaju — to służące jeszcze z rana z tem się załatwiły...

Paweł sprzedawał trzy wazoniki z różami za cztery franki, pozostała mu jeszcze jedna żółta z odcieniem herbacianej barwy. Była to tak zwana Celine Forestier, przypominająca kolorem w całości żółte winogrona w Villeneuve, naturalnie, jeżeli jest gatunku rosnącego i skorego do ozieblenia się. Był to pięcioletni szczepek. Paweł hodował ją pięć lat, jakby jakie ukochane dziecko. Z drżącą ręką dokonywał na niej wszelkiej operacji, zanim to z dzikiej gałązki, po którą podróżował aż dwie mile, wychował ten piękny szczepek. On jej obwiązywał rany, obmywał, pielęgnował tę latorośl, gdyby jakiego chorego człowieka; ociemniał i podlewał; kurz zmiatał z jej listków; gdy nadeszła zima, zabrał ją do izby, wskutek czego musiał sobie w jej obecności odmówić palenia fajki! Pięć lat ją hodował i ona do niego należała, ona była prawdziwym członkiem

rodziny. On pierwszy dostrzegł wylaniające się szlachetne kwiaty szczepek; gdy rozwijał jej topasowe listeczki; dzieci krzyczały z radości, a żona ucałowała go, tak pięknymi były pączki małe, jak pstre wóreczki jego dzieci... Teraz musi ją sprzedać, tu na ulicy Lozanny, obok kanału! On ją musi sprzedać, gdyż dziewczętom trzeba sprawić bućki, by i one w towarzystwie rodziców mogły się przejść po południu wśród wspaniałego dnia letniego.

Wtem nadszedł jakiś anglik i zapytał:

— Ile kosztuje?

— Sześć franków, Sir!

Anglik dobył pięć franków i rzekł:

— Wystarczy?

Widać, że był przyzwyczajony się targować i znał swoich ludzi...

— Sześć franków — powtórzył Paweł.

— To niemożliwe — odpowiedział spokojnie anglik i poszedł...

Zbliżył się amerykańnik.

— Ile pan chce za tę malmeronkę?

— Piętnaście franków! — odrzekł Paweł.

— Proszę — rzekł milioner i zapłacił.

Pawłowi zdało się, że mu się pieniądze palą w ręce: wkrótce też postanowił sobie w duchu nową tezę ekonomiczno-narodową: „sądzę, że wartość towaru zależy od ceny, a nie cena od towaru!”

Śmiał się...

Przeszedł się kilka kroków po trotuarze; podszedł do księgarni. Przerzucił oczyma kilka książek oprawnych w nowe okładki i zaopatrzonych w modne tytuły, których treść jednak stara była jak świat...

Na jednej nareszcie zatrzymał dłużej wzrok; była to książka wydana u jednego z najprzystojniejszych wydawców w Niemczech, mianowicie Brokhauza w Lipsku, pod głośnym w całym świecie tytułem: „Co robić trzeba?” — Historia człowieka przez Czernyszewskiego.

Nie czekał dłużej; zawrócił na swoje miejsce, zwinął kram, który mu pozostał niesprzedany i powłócił się z powrotem ulicą. Gdy stanął na placu Saint Francois, rozglądał się po sztydach; dojechawszy zaś do katedry, zatrzymał się przed jednym ze sklepów szewskich. Twarz jego poczęła przybierać ten sam wyraz, jakim się pokryła niedawno na Avenue de Theatre. Zakupił dwie pary butów dla dzieci, następnie przeszedł się jeszcze do bazaru i wybrał... kilka zabawek. Skoro się tylko uporał ze swymi zakupami, corychlej wrócił starą drogą w stronę Ouchy...



Rozmaitości



„Król rozrzutników”. W zakładzie dla obłąkanych w Genewie zmarł „król rozrzutników”. Był to Anglik, nazwiskiem Benzon, a „tytuł” swój zdobył w ten sposób, że w przeciągu 3 lat potrafił wydać 5 milionów marek. Cierpiał na prawdziwą manię rozrzucania pieniędzy, a mania ta doszła do szczytu podczas uroczystości jubileuszu zmarłej królowej angielskiej Wiktorji, podczas których Benzon wydał olbrzymie sumy. Gdy jego miliony zaczęły się wyczerpywać napisał książkę pod tytułem: „Sztuka wydawania pieniędzy”. Należał on do przyjaciół zmarłego króla angielskiego Edwarda; od 2 lat siedział w zakładzie dla obłąkanych, gdzie wciąż odgrywał rolę milionera i obdzielał służbę czekami na banki, w których kiedyś miał pieniądze.

* * *

Mierzenie czasu. Zajmujący artykuł o podziale czasu ogłosił profesor Hans Dominik. Gdy odnośnie do naszych miar, wag i monet stosujemy system dziesiątkowy, w podziale czasu panuje ciągle jeszcze starodawna dwunastka. Dzień ma 12 godzin a doba 24. Wogóle w naszym podziale czasu mamy pewne rozdzielenie, gdyż musimy

uwzględniać dwie naturalne miary czasu, które niezupełnie się zgadzają z sobą, a mianowicie rok słoneczny i dzień słoneczny. Nasze codzienne zajęcia tak są związane ze stanem słońca, że jako miarę czasu przyjmujemy mimowoli porę od jednego południa do drugiego, to jest, gdy słońce znajduje się na zenicie. W ten sposób otrzymujemy dzień, jako miarę czasu. Dalej uwzględniamy każdorazowe położenie ziemi wobec słońca, od tego bowiem zależą pory roku. Gdybyśmy wedle systemu dekad przeprowadzili rok o 300 dniach, to powstałyby rychło niewygody. Już po 6 takich krótszych latach dzień 24 grudnia przypadłby na lato, a po dalszych 6 latach znowu na zimę. Używamy więc dwóch naturalnych miar czasu, to jest roku słonecznego, czyli pory, w której ziemia raz jeden obiega drogę naokoło słońca, iudzież dnia słonecznego, czyli średniego czasu, który upływa pomiędzy dwoma najwyższymi punktami słońca, lub jego przejściami przez południki. Przyjawszy miarę średniego dnia słonecznego, możemy jednakże zapytać, czy dalszy podział na godziny i minuty jest konieczny i czy nie jest możliwy inny, dogodniejszy podział dnia.

W sprawie tej zabrał głos J. C. Barolin i zaproponował dzień 100-godzinny. Jeżeli nasz dzień (dobę) 24-godzinny podzielimy na kwadransy, otrzymamy liczbę 96. Otóż kwadrans jest miarą czasu, która w praktyce odgrywa znaczną rolę. Barolin atoli wtedy proponuje, ażeby dobę podzielić na 100 równych części. Taki nowy kwadrans miałby 14·4 dzisiejszej minuty, odróżniałby się więc niewiele od dotychczasowego kwadransa. W ten sposób otrzymalibyśmy podział dziesiętny dnia. Dla nowego kwadransa przyjmuje Barolin arabską nazwę „talit“. Obok „talita“ czyli jednej setnej dnia (doby) istniałaby jedna dziesiąta doby, wynosząca 2·4 dzisiejszej godziny. Trzymając się analogji mielibyśmy „decydzien“, „centydzien“, „mili-dzien“. Barolin trzyma się jednakże nazw arabskich i podaje następującą, nieco dziwaczną tabelkę:

0·1	dnia 1 Tani
0·01	„ 1 Talit
0·001	„ 1 Rabe
0·0001	„ 1 Kamis
0·00001	„ 1 Sadis
0·000001	„ 1 Sabe
0·0000001	„ 1 Tanim
0·00000001	„ 1 Tase
0·000000001	„ 1 Asir

Mniejsza o nazwy. Pomyślmy teraz, jakby wyglądał zegar wedle tego systemu. Otóż miałby dwie wskazówki. Mniejsza w ciągu 24 godzin obiegałaby raz jeden tarczę zegarową, podzieloną na 100 części (obecnie 60). Wielka wskazówka w przeciągu nowego kwadransa (14·4 min.) raz naokoło tarczy, a więc przeszło 4 razy tyle, co obecna wskazówka minutowa. Jedna setna nowego kwadransa, to jest 8·64 dzisiejszej sekundy, byłaby najmniejszą podziałką na tarczy. Odpowiednio do dzisiejszej wskazówki sekundo-wej możnaby na nowym zegarze umieścić trzecią wskazówkę na osobnej tarczy. Ta wskazówka w przeciągu jednak 1 „kamisu“, to jest w ciągu 8·64 częściach dzisiejszej sekundy obiegałaby raz swoją tarczę. Można tę małą tarczę podzielić na 100 części i otrzymać „sabe“, czyli 0·008 sekundy. Ale to już w codziennem życiu jest niepotrzebne.

Pojedynek malców. Z Detmold donoszą, że pomiędzy dwoma 17-letnimi uczniami odbył się pojedynek na pistolety z powodu pewnej 13-letniej dziewczyny. Jeden z nich został ciężko ranny wystrzałem w piersi.

Masowa fabrykacja doktorów. W jednym z małych miasteczek bułgarskich znaleziono pieczęć uniwersytetu heidelberskiego, przy pomocy której działały się różne nad-użycia. Już poprzednio zwracało uwagę, jak wielu bułgarów pisze się doktorami tego uniwersytetu. Rząd bułgarski zwrócił się do senatu wszechnicy z prośbą o wykaz

nazwisk jego poddanych, którzy w Heidelbergu otrzymali doktorat. Na mocy tego wykazu stwierdzono, że wiele dyplomów zostało sfałszowanych. Wykrycie pieczęci objaśnia, w jaki sposób samozwańcy dopuszczali się szalbierstwa. Pieczęć zabrało ministerstwo sprawiedliwości. Uniwersytet heidelberski wysłał do Sofji jednego ze swych urzędników dla zbadania sprawy.

Porwana prezydentowa. Niesłychaną sensację wśród ludności Meksyku wywołało tajemnicze zniknięcie żony prezydenta Rzeczypospolitej meksykańskiej, Madero. Nie wiadomo jeszcze, czy było to porwanie w celach zemsty, czy też uplanowana ucieczka. Szczegóły tego zagadkowego zdarzenia są następujące:

W wigilję Bożego Narodzenia żona prezydenta udała się na nabożeństwo. Mąż jej, Madero, pozostał w domu. Pod koniec mszy do prezydentowej zbliżył się mężczyzna w ubraniu oficerskiem i wręczył jej kartkę, na której, jak mówią towarzyszące prezydentowej osoby, było napisanych tylko kilka słów. przeczytawszy kartkę, donna Amelja poprosiła otoczenie, aby się nie niepokoilo i prędko wyszła z kościoła. Tam podjechał samochód, do którego żona prezydenta wsiadła, a z nią towarzyszący jej oficer. Nie zważając na rozkaz pozostania do końca nabożeństwa, dwie osoby ze świty donny Józefy wyszły za nią z kościoła i widziały jak samochód biegł szaloną szybkością. Wkrótce straciły go z oczu, ale mimo to podążyły do pałacu. Okazało się, że nikt po donnę Józefę samochodu nie przysłał i że żaden samochód do pałacu nie przyjechał. Zawiadomiono natychmiast prezydenta Madero, który w otoczeniu przyjaciół udał się w pogoń. Dotychczas na ślad prezydentowej nie natrafiono. Małżonka prezydenta Madero, donna Józefa Amelja, piękna hiszpanka, ma lat 22 do 23. Poślubiła prezydenta, kiedy był jeszcze zwyczajnym obywatelem. Aż do tej chwili pożycie ich było szczęśliwe. Istnieje przypuszczenie, że napad urządziła przez zemstę partja zwolenników poprzedniego prezydenta Diaza.

Powodzie w Niemczech zachodnich. Mozela i rzeki dopływowe silnie wzrastają; częściowo wystąpiły już z brzegów. Także Saara wzrasta. W Merzig zalany park miejski, w pobliżu Bettingen dosięga woda toru kolejowego Saarbrücken-Trewir. Pod Hillbringen zatonał statek ze żwirem.

Równej płacy za równą pracę. Z tem hasłem walczyły nauczycielki amerykańskie w Nowym Jorku od lat, żądając podwyższenia płac swych do normy płac męzkich nauczycieli. W Ameryce pracuje ogromna liczba nauczycielek we wszystkich szkołach, a ludność z nich jest ogromnie zadowolona. Szczególnie w szkołach ludowych pracuje ich cała masa. Płaca ich wynosiła w 1 roku 600 dolarów czyli 2550 mk., a dopiero w 4 roku 720 dol. t. j. 3060 mk., które nauczyciele dostawali już w 1 roku. Kilkakrotnie tedy nauczycielki przypuszczały szturm do odpowiednich czynników o zrównanie płac, lecz słuszne ich żądania natrafiły na opór władz. W końcu jednak zwyciężają i niedawno doczekały się ustawowego uregulowania płacy w duchu żądań swoich. Zyskują ogromnie wiele, gdyż płaca ich skutkiem tego podskoczyła o znaczny procent.

Wybuch żelaznego basenu. W Mottingham eksplodował żelazny basen, zawierający milion metrów kubicznych gazu. Olbrzymi basen został odrzucony na odległość 30 metrów, przyczem uderzył w drugi basen, ale go nie rozbił. Kawały żelaza, rozlatujące się po całej okolicy, uszkodziły wiele domów i zraniły dużo osób. Równocześnie pękła ściana podmurowania, na którym spoczywał basen gazowy i nagle olbrzymim strumieniem wypłynęła woda,

zalewając całą ulicę i wszystkie domy. Ludność z pospiechem zaczęła uciekać przed powodzią. Pewna dziewczyna utonęła we falach. Prawie wszystkie domy zostały mniej lub więcej uszkodzone. Na domier nieszczęścia zaczęło się palić wiele domów. Mieszkańcy nocować musieli po części na ulicach, dalej położonych, w śniegu, pozbawieni ubrań, których w pośpiechu zabrać nie mogli.

* * *

Wąż w wagonie kolejowym. Podczas jazdy na to rze kolejowym Nysa Brzeg zauważyli podróżni przedziału III klasy, że z kieszeni paltota pewnego podróżnego wydobył się przeszło trzydziestocentymetrowy wąż wodny i wślizgnął się na ramię jego. Podróżni, w tem dwie panie, krzyknęły z przerażenia i tylko z trudem zdołały ich posiedzieć. Wąż uspokoił tłumaczeniem, że wąż wodny (*Tropidonotus natrix* — *Ringelnatter*) nie jest wcale jadowity. Podróżny ten sześć lasem niemożliwym, napotkał śpiącego węża a obwinął go w chustkę do nosa, włożył do kieszeni. Ciepło panujące w wagonie obudziło węża z snu zimowego.



Demokrackie nowiny.

Zima pierónsko. Przydałyby mi się baranioki, ale by zaś księżniczka Grelich a inksi padali, że ku wam idzie wilk w owczyj skórze. Jagbych im na to pedzioł, coby wiedzieli, że na niedźwiedzia, ani na skąsowo ani na inkszo drogą skórą niy mom, kiej oni, toby mie dali na szlacwalda, kiej Mieczkowski, a nieskorzy zaś byłaby rewizyjo w rydachcyji „Robotniczy”. Aleć wszystkie burżuje, wdycy na nos wołają: „wilki drapiżne w owczyj skórze”, za to sami przebiyrają się wdycy inakszy, kiej idą na handel z bydłem wyborczym, to je s tymi nieoświadczeniami wyborcami, co to nie znają swoich praw ludzkich, a obywatelskie ani im we śniku nie postoją w głowach.

Szlacheckie (jino niezbyt szlachetne) „prawdziwie ludowe” a „szczyrze katolickie” pismo „Katolik” i jego ablegiery r'zą nom, że u socjaldemokratów tyż są szlachcice. Kieryś beroklyta pisze o wyborach w jego „Smieciuszk”, ale ta jego godka tako gupio, kiej tyn jego cyferblat na fotografachyji, chtëro mu przylepili. Chcą tam tyż nawrocać kierygō Ignaca socjolika, ale by s nami kiepsko stoło, kiejby choć co setny z naszych miot mieć tako cymno pałyta, „kiej tyn „nawrócony” Ignac, a te śmieszki od Smieciuszka. Ano — niedarmo podpisuje się tyn lśny jino „Mądrala z pod szybu”; bo to sie wiy, że mądrala to sie zwy taki, co udaje tylko mōndrygō, ale rychtycznie je tak mądry, jak Salamonowe galoty. Pado „Rydachcyjo” tymu Ignacowi o szlachcie socjalistycznej. Dobrze, ale to ludzie szlachetni sercem a duszą, prawi szlachcice, a nie takie se szlachetki, co jino myślą, że oni nojlepsi a skisz tego inksi muszą na nich robić. Prawym ludziom my wdycy przajymy, my jino na takich szlachciców po sprawiedliwymu pomstujem, co sie miynią nojniższymi sługami tronu a nojwyższymi panami ludu. S takimi precz!

Norodowce czczą niby Kościuszka, ale jino słowami a nie czynami. Bo nie pamiyntajom, że tyn prawy szlachcic bōł republikańcem s przekonaniem, nie ciypioł tyranów a umiłowōł lud poddany. Ale kadziłta mu polic nie kosztuje wiela, za to czynić kiej on to trudniej. Takie małe duchy s patriotyzmem w gambie, po tekku w kabzie, szlachta pospolito z urodzynio jino a tych, co ją naśladowōm jino kiej afy, przykładać do Kościuszka, prawygō szlachcica, nie jino z urodzynio, to nie lza. — Niech sie wiync redactory bytońskie na to spamiyntajōm, a możno uznajom, że nasi szlachcice-demokraci, to podobnie prawe chopy, co naczelnik, choć miynij sławne. A możno i nie uznajōm, ale co sie tam wadzić s takimi piórokludami, co są błogosławiyni jako ubodzy w duchu.

Ale dzieją sie jeszcze dziwy na tym świecie. Hakata piznōł strach o mandaty, to nauczyła sie rżōndzić po pol-

sku dō wyborców, a „Oberschlesischer Kurier” zamiesciōł cały list w tym zakozanym jynzyku, podpisany Sk.... Zaczyno sie tak: „Co sie różni od Bebla a co sie różni od Napieralskiego?” Tako zagodka wymedykowōł se na Nowy Rok kieryś potworek, polski niymiec, bo pisze, że mo jynzyk polski a serce niemieckie, i ónaczy po tymu. Do popukania s nim. A zaś pisze, że Chrystus jino samym apostołom a Koppowi kozōł nauczać norody, a nie rydachtorom. Ale kaj to stoi, tegō nie pado, a czy Chrystus choć pomysliōł o nauczaniu przez tako lagramyncina, kiej tyn isny, co pisze takie klachy, o tym ón tyż nie pouczo. Za to „Ob. Kur.” wiy, że jego czytelnicy katoliki bydą se myśleli, co wybiyrac posłōw je tylo, co grać w karty, w zechyka, szkata albo psa, bo im zapowiadō na 12 stycznia: „Centrum ist Trumpf!” A niech se triumfujōm, ale tryumfować nie bydą, bo slyżją na psa.

Śmiesznie szkli tyż Cyntrum w swoji odezwie polskij. Ta partyjo, co walczy pouo za prawdą, pisze, że socjalistyczny rżōnd we Francji pokrod kościoły, ale ile ich prawie zabroł rżōnd pruski, chtëromu cyntrum służy wiernie, tegō nie pado. Nie padają tyż, ile tyn rżōnd kościołōw protestanckich funduje co rok dlo kolonistōw w ziymiach katolicko-polskich. Cyganiōm, że socjalistyczny (?) rżōnd francuski nie pozwoło na nauka religji w narzeczach francuskich, ale sami chwōlą sie, że rżōnd pruski, u chtërygo żłobu żrą, nie łaskow na jich justicrata Marksa, że tyńże żadoł nauki religji w polskim jynzyku, a milczōm o tym, że ich ksiynżulkowie s Koppem na czele, sami nie mogą po polsku, a choć mogą, to i tak dziotki płacącycych potulnych owieczek polskich uczą religji po niemiecku, a giermanizują je. Takie faryzeuszostwo! Fuji! A nojpiykniejszo, kiej sami wymedykowali se pytanie: Po jakimu cyntrum nic jeszcze nie zrobiło dlo polskijgo ludu? a odpowiadają se sami: bo wszystko zoleży od lantaku, a tam je jino 104 centrowców, 15 poloków a 324 „wrogów!” Wiync do jakiegō pierōna kandygō wos wybierać, kiej eście słabi? Przymilają się, padajōm, że junkry wrogowie, a poloki swoi! Ale to nie wadzi, że odezwa je przeciw Kołu Polskiemu, a cyntrownicy robią kompromisy a polityka z junkrami „wrogami”. A po jakimu naszo partyjo mo być wrogą ludowi polskiemu, to już tajemnica cyntrowniców. Socjaldemokracy wdycy głosowali przeciw wszyjskim prawom wyjątkowym, a wdycy za sprawiedliwościami, ale cyntrum niezawsze. A że podatki na kolonije, na flota, na wojoków i inksze nie podobają się nawet ludowi niemieckiemu, to sie tyż wiy. Ale cyntrum samo chwili sie a wadzi, że je szactroj a kajzertroj, to tyż musi nakładać ludowi wynksze ciynżary. Państwo musi być wielkie, choćby inkszym kradło ziymia a życie i wolność, rodzina koronowana z bōżyj łaski tyż chce żyć dobrze, a bejamtry tyż, a junkry i inksze panoczki nie miałyby pono na rostmaite wina a ostrigi, kiejby mieli se sami płacić na takie zbytki, i kiejby lud miot kans chleba nieco wiynkszy a kielbasy dōń tyż hnet a hnet, a uieco lepsze i cieplejsze obleczynie tyż.

I takie panoczki, cyntrum a inksze burżuje, są tylo byldowane a nie wstydyją się szklić i bez proszynio wciskać ludowi swoje kandydatury poselskie!

Doczekcie jino, panoczki, w piōntek odpowiyemy wam na waszo odezwa. Uznali my downo, co są wasze obiecki pod niecki.

Towarzysze! Do roboty, aże zowiasy bydą trzeszczaly. Już nie czas na to, coby wadzić sie jeszcze długo z burżujami, pobijmy ich lepszy naszymi kartkami wyborczymi!

Terazki trza sie spichać z robotą, coby wybory ochroniły blank ta buda w Berlinie, co sie zwyj parlamynt.

Chciołech wos jeszcze prosić piyknie, cobyście na mnie welowali, ale tak po gibku już nie lza postawić moji kandydatury. Wiyns jino s wami spokōm zycia:

Niech zwyciężą nasi kandydaci! Niech żyją nasi posłowie!

Gustlik Beskuryjo.